

Kronika tygodniowa.

Kochana moja Weronisia znalazła się mimowoli w tem samym położeniu, co premier austriacki, eksce-lencya dr. Seidler.

Obydwoje, nie wiedząc nawet zapewne o sobie, zaciągnęli się pod znaki towarzystwa „O. P. K.“ (Onufry, pakuj kufry...) i wybierają się w drogę. Ta tylko między nimi zachodzi różnica, iż moja małżonka jest przeświadczoną, że wróci, skąd wyjechała, pan Seidler zaś jest nawet więcej niż pewnym, że to nie nastąpi. Trzyma się też rękami i nogami poręczy mi-nisteryjnego fotelu i broni się, jak może. Co jednak jutro przyniesie, nikt nie wie. W każdym razie, zę-gnając się z taką i pierogiem, będzie miał czem lzy otrzeć, zostanie mu bowiem na pamiątkę bardzo ładna emerytorka, choćby nawet wypłacaną była w papie-rowych pieniądzach. Jest ich, co prawda, dosyć, dzięki pomocy koalicji więcej nawet, niż być powinno, w każdym przeciwieństwie można jeszcze za nie coś kupić, nie też dziwnego, że o ów papier tak się ludzie ubiegają, jak niegdyś o marny kruszec. Powiedział pewien filozof, że bolesną jest rzeczą musieć wydawać pieniądze, choćby nawet papierowe, ale stokroć bo-leśniejszą nie mieć ich do wydawania.

I miał rację!

Wróćmy jednak do eksce-lencyi Seidlera i mojej Weroniki.

Otóż jest rzeczą prawie pewną, że pan prezydent ministrów pojedzie w krótkim już czasie na stały, a dobrze zasłużony wypoczynek, ale jest też i to pe-wnem, że nikt po nim płakać nie będzie, najmniej zaś Galicya, nie ciesząc się zupełnie jego szczególniejszymi względami. Podobnie jak i jego poprzednicy na prezydyjnym fotelu, uważał on kraj nasz za coś więcej nawet niż drugorzędnego, przysparzającego tylko kło-potów rządowi centralnemu, jeśli zaś liczył się kiedy z nami, to tylko wówczas, gdy trzeba było pomocy postów polskich do wzmożenia rządowej parlamen-tarnej większości i ratowania sytuacji. To był także zwykle i okres obiecanek cakanek, o których się prze-cież bardzo prędko zapominało.

Galicya pożegna więc dra Seidlera bez żalu i ze szczerego serca życzyć mu będzie „szczęśliwej drogi“ i powodzenia w dalszym życiu.

Jak się już wyżej rzekło, nie powróci on już ze swej podróży, kto bowiem politycznie pójdzie raz na dno, ten już zwykle nigdy nie wypłynie. Bywają wprawdzie wyjątki, ale te są bardzo rzadkie.

Weronika natomiast, choć i jej trudno jest rozłą-czyć się z Krakowem, ma nadzieję, że wróci pod dach rodzinny i w objęcia kochającego małżonka, zęgnają-cego ją z żalem i życzącego także „szczęśliwej drogi“ ale też i rychłego powrotu, oby tylko nie niespodzie-wanego, taki bowiem dla słomianego wdowca może być czasem bardzo nieprzyjemnym.

Mogłoby się może komu wydawać, że wyjazd na wakacje to przecież nie tak znów ciężkiego. Kto jest tego zdania, ten się grubo myli, bo i w tym kierunku dają się odczuwać wojenne stosunki i to nieraz bardzo dotkliwie.

W pierwszym rzędzie, chcąc opuścić gród pod-wawelski na czas wakacyjny, trzeba się przedewszyst-kiem zaopatrzyć w najrozmaitsze, możliwe i niemożliwe do zdobycia dokumenty podróżne, bez których nie można nawet nosa wystawić poza rogatki miasta.

Musi się więc każdy i każda wymeldować najpierw policyjnie, co zresztą nie jest rzeczą tak trudną, poza-tem zaś chlebowo, cukrowo, kawowo, tłuszczowo, my-dlano itd., co już nie przychodzi tak łatwo, jakby może kto myślał.

W tym celu należy się udać do odpowiedniego biura miejskiego, wydającego owe karty i tam zgłosić swój wyjazd. Ale tutaj najczęściej albo się nie zastanie re-ferenta lub referentki, albo się ich zastanie, ale się natomiast dowiaduje, że brakło chwilowo blankietów, które mają dopiero nadejść z magistratu. Kiedy zaś nadejdą, tego nikt przewidzieć nie może przy znanym autonomicznym pospiechu.

Ala, dajmy na to, był i referent, znalazły się i owe niezbędne blankiety, mające to do siebie, że właśnie wtedy ich brak, gdy ich potrzeba. Zanim otrzymasz żądany cyrograf, musisz zwrócić pobrane na ten mie-siąc karty, a jeśli je już zjadł (proszę tego jednak nie brać dosłownie...), następcy ci to cały szereg trudności, prawie nie do przezwyciężenia. Chyba, że masz protekcję. Wtedy zupełnie co innego, wszystko idzie gładko i lekko, jak po masle lub mydle. Lecz takich szczęśliwców jest, niestety, mało, a kronikarz do ich rzędu nie należy, wobec czego wymeldowanie Weroniki nie poszło mu bynajmniej tak łatwo, gładko i lekko, jak po masle lub mydle, choć obie te karty miał w zupełnym porządku. Brakowało mu chlebowej,

gdyż się o nią nie starał, wiedząc, że na nią się nie przyda, gdyż na nią chleba nie dostanie, nie mógł też zwrócić i cukrowej. Tę ostatnią skonfiskowała małżonka, oświadczając że jej nie wyda za żadną cenę, gdyż potrzebuje cukru do smażenia konfitur... (pro-szę!... czy to nie zbyt?.. przyp. zeca a).

Ostatecznie dało się przeciwieństwo jakoś ominąć te tru-dności, zwłaszcza, gdy się kronikarz powołał na zdanie jednej z krakowskich, bardzo srożej eksce-lencyi, która wyraziła powiedziała, gdy chodziło o jej skórę, że ustawy są na to wydane, „by je móż obchodzić“. To dopiero odpowiedni funkcyonaryuszowi przemówiło do serca. Pani Weronika otrzymała więc czarne na białem, że może jechać gdzie się jej podoba i tam starać o dalszą aprowizację, o ile ją naturalnie do-stanie.

Wiedząc o tem, jak dziś wszędzie o wszystko trudno, nawet na swych śmieciach, a cóż dopiero między obcymi, pomań nadto na oświadczenie zarzą-dów naszych zdrojowisk i uzdrowisk, że „aprowizacja na miejscu jest zapewniona“, ale one nie ręczą za nic, wobec czego jest wskazaniem przywiezienie ze sobą prowiantów, należało się też o takowe postarać. Ostatecznie udało się zebrać co najważniejsze do utrzy-mania życia, gdy samo świeże powietrze nie wystarczy, wyłonił się przeciwieństwo nowy sek. W drodze prowianty mogą uleść konfiskacie i dostać się do żołądków nie tych, dla których były przeznaczone. W tym celu powinno się mieć specjalne pozwolenie władzy na wy-wiezienie zapasów z Krakowa i przewiezienie ich na inne miejsce, gdzie je już, o ile się w międzyczasie nie zepsują, będzie można skonsumować w spokoju.

O takie pozwolenie trzeba się starać aż we Lwowie, ponieważ są wiadomo jak sprawnie obecnie nasze poczty funkcyonują i ile tego rodzaju podań wpływa w tym okresie do odpowiedniej władzy, której się także nie spieszy, powinno się to uczynić bodaj na dwa mie-siące przed terminem wyjazdu, a następnie uzbroić się w cierpliwość i czekać.

I ja tak zrobiłem, czekam też cierpliwie, czy ze-zwalająca odpowiedź nie nadejdzie przypadkiem w... paź-dzierniku, bo i to nie jest wykluczonem. Magistrat krakowski w roku ubiegłym rozlepił w czerwcu prz-pisy o odmiataniu śniega z przed domów, namiest-nictwo w roku bieżącym w ostatnim dniu subskry-bowania (sreż pożyczki wojennej) plakatowało urzę-dowe zachęcanie do tego, datowane „5 czerwca“, pocóż więc ma się spieszyć jakiś tam urząd żywnościowy. Nikt na tem złe nie wyjdzie, skorzysta nawet ten, kto miał jechać, a ze strachu przed konfiskatą nie pojechał, zostaną mu bowiem w kieszeni pieniądze, jakie byłby wydał na drogę.

Niema więc złego, które w tym przynajmniej wy-padku, nie wyszłoby na dobre.

Przypuśćmy jednak, że ów jadący lub jadąca uro-dzili się pod szczęśliwą gwiazdą i owo pozwolenie nadeszło na czas.

Wszystko już do podróży przygotowane, pozostaje jeszcze staranie się o bilet kolejowy, a potem o miej-sce we wagonie, co już stanowi najtrudniejszą z tru-dności, utrudniających w obecnych czasach podróże-wanie, bez względu na to, czy się jedzie w intere-sie, czy też, jak się to mówi „dla przyjemności“.

Aby się nie narazić niepotrzebnie na polamanie żeber przy okienku kasy kolejowej, gdzie ścisk panuje stale nie do opisania, a potem usłyszeć, że bilety na ten dzień już wszystkie rozsprzedano, idzie się na ulicę Szpitalną, do Związku turystycznego, gdzie również można nabywać bilety. Tutaj jednak spotyka się taki ogon, że niczem jest jego kolega z przed drzwi głównej trafiki w dniu fasnoku. Ludzi ogarnęła gorączka po-dróżowania, jeździłoby, czy im potrzeba, czy nie, po-nieważ zaś mają dość pieniędzy, nie przychodzi im to z trudnością. Można śmiało powiedzieć, że na sta-dróżujących dziewięćdziesięciu pięciu mogłoby zostać spokojnie na miejscu i nie ponieśli bynajmniej straty, owszem oszczędziliby sobie przykrości podróże-wania w obecnych warunkach.

I tutaj można też znaleźć pośredników, którzy staną za ciebie do ogonka, ale musi się im słono za-płacić za stratę czasu i fatygę.

Ala, dajmy na to, wszystko poszło jakoś szczęśli-wie, dostało się już tak upragniony bilet jazdy. Spie-szy się więc na dworzec kolejowy, na godzinę przy-najmniej przed zapowiedzianym przybyciem pociągu na stację. Z tej godziny robią się przeciwieństwo dwie lub trzy, jeśli nie więcej, pociągiem bowiem także się nie spie-szy i z reguły przybywają z bardzo poważnem spó-znieniem.

Jeśli się ma protekcję (mój Boże, gdzie jej nie potrzeba...) i dostanie się zawczasu na peron, to je-szcze pół biedy, gorzej przeciwieństwo, jeśli się jest skaza-nym na pobyt w poczekalni, gdzie się ma sposobność zakosztowania rajskich rozkoszy, jakie czekają w dro-dze. Kto nie jest ubezpieczony od wypadku, niech się tutaj nawet nie pokazuje!..

Zajechał wreszcie pociąg, otwarto podwoje, ruszyła się fala czekających. Pchają się jedni przez drugich, bacząc tylko na to, by się jak najprędzej dostać do przedziału. Zdaje się, że w dniu sądu ostatecznego nie będzie na dolinie Jozafata takiego rozgardyaszu, jaki codziennie można obserwować na dworcu kolejowym. Ludzie stają się tutaj poprostu bezmyślnymi istotami, pędzącymi przed siebie na oślep, niczem stado baranów... Ni na płóć, ni na wiek nikt tutaj nie zważa...

Ala do wagonu dostać się nie tak łatwo, jakby może kto sądził. Drogę trzeba sobie torować siłą lub podstępem. Nieraz się zdarza, że poważna niewiasta, nie bacząc nawet na to, jaki uciechowy widok ma reszta towarzyszy podróży, przez okno pcha się do wagonu... Ale ktoby tam patrzył na nią, gdy każdy myśli tylko o tem, w jaki sposób dostać się do wnętrza.

Ostatecznie, gdy i to się już udało, przekonuje się człowiek, że sprzedano daleko więcej biletów, niż jest miejsc, że więc musi odbyć podróż stojąco. Lecz i za to dziękuję Panu Bogu, choć się gniewie, niczem śledź w baczce i tchu nawet złapać nie może...

Na tem urywam pierwszą serję przyjemności po-dróżowania w obecnych czasach, sądząc, że zacna Weronika, gdy te słowa przeczyta, może się zdecy-duje zmienić zamiar i zostanie wraz ze mną w Kra-kowie. Druga serja, opisująca podróż samą i przyby-cie na miejsce, będzie tematem następnej kroniki, boję się bowiem tyle okropności podawać Czytelnikom na raz. Przez samo ich czytanie może się człowiek łatwo nabawić rozstroju nerwowego, wiadomo zaś, że nerwy stoisz trudniej trochę, niż pierwszy lepszy zepsuty klawicymbal.

Tyle tylko dodam, co w związku z wyjazdem żon na wakacje pozostaje, iż nasze panie, o ile same zmuszane są do wybrania się na letnie wywczas, mężów zaś pozostawiają na miejscu, zawiązały niedawno „To-warzystwo ochrony wierności małżeńskie“. W ubie-głym tygodniu odbyło się pierwsze walne zgromadze-nie, na którym powzięto jednomyślnie następujące re-zolucye:

1) Nad życiem i prowadzeniem się tak zwanych „słomianych wdowców“ w czasie nieobecności ich żon w Krakowie roztoczy specjalną opiekę wydział Towarzystwa przez swe członkinie, pozostające na miejscu.

2) Słomianemu wdowcowi pod żadnym warunkiem nie wolno w czasie nieobecności żony zdejmować z palca pierścionek ślubny. Wyjątek stanowią ci mężowie, którzy, za pozwoleniem władzy domowej, pierścionki owe wraz z innymi klejnotami zastawili na pokrycie kosztów wyjazdu żony do kąpiel.

3) Przez cały czas nieobecności żony żaden ze słomianych wdowców nie może posiadać klucza od bramy. Stróż i stróżka są pod osobistą odpowiedzialnością obowiązani do prowadzenia dokładnego dziennika z za-piskami, o której godzinie i minucie w nocy przybył odnośny osobnik do domu, sam, czy w towarzystwie.

(Bardzo przepraszam, ale, ponieważ zapiski ma się prowadzić w nocy, rejestr ten nie powinien się chyba nazywać „dziennikiem“... przyp. zecera).

4) Wydział Towarzystwa poczyni kroki, gdzie na-leży, by na czas wakacyjny zamknięto z urzędu wszelkie lokale rozrywkowe, jak: separatki, kabarety, we-sołe i smutne żaby i inne tym podobne. Należy się wystarać nadto o zakaz sprowadzania w tym czasie podniecających pokarmów i trunków, na przykład szam-pana. Szczególniejszą uwagę zwrócić należy zwłaszcza na kawior, który, jako importowany do nas z Ukrainy, mógłby się stać w swych skutkach bardzo niebezpie-cznym. Wiadomo, jak „szeroką naturą“ odznaczają się Kozacy, wobec czego sprzedaż kawioru tamtejszej pro-weniencji musi być bezwarunkowo wykluczoną.

5) Każdy z małżonków złoży na piśmie solenne przyrzeczenie, że nie złamie zaprzysiężonej przed otkarzem wierności małżeńskiej myśli, mową, tembardziej zaś uczynkiem, nawet, gdyby się sposobność nada-rzała. Przyrzeczenia te mają być złożone w archiwum Towarzystwa, które ma obowiązek podawania do pu-blicznej wiadomości nazwisk nie dotrzymujących przy-rzeczenia.

6) Za moralne prowadzenie się w czasie wakacyi wyznaczone będą dla słomianych wdowców specjalne nagrody cnoty. Przyznaniem ich zajmie się wydział Towarzystwa na pierwszym posiedzeniu po wakacjach. Nazwiska i podobizny laureatów będą opublikowane na koszt Towarzystwa w pismach miejscowych i zagra-nicznych.

Ponieważ moja władza domowa dotąd nie opuściła Krakowa i nie wie, kiedy to nastąpi, gdyż pozwolenia na przewóz prowiantów nie otrzymała (a ja nie mam także jeszcze pieniędzy na ich zakupno...), kto wie, czy się wszystko nie skończy tylko na projekcie.

